



Mirosław Derecki (M.D.)

EKRAN I WIDZ: „WESTERN” O KOMANDOSACH

Na ekrany wszedł długo oczekiwany przez entuzjastów kina o tematyce wojenno-przygodowej film produkcji angielskiej „Komandosi z Nawarony”. Reżyserował go specjalista tego gatunku Guy Hamilton, twórca m. in. słynnego lotniczo-wojennego giganta „Bitwa o Anglię” (1968 r.), który przyniósł mu zasłużoną sławę i pieniądze, chociaż prawdziwym sukcesem artystycznym był powstały u początków kariery tego reżysera, w 1952 r., dramat wojenny „The Colditz Story”.

Jak jednak często bywa w wypadku artystów zdolnych i tworzących z dużą łatwością, Hamilton szybko przeszedł na pozycje typowo komercyjne, dając się poznać jako doskonały realizator filmów szpiegowskich z serii przygód Agenta 007 - Jamesa Bonda. W tym względzie można by już uznać Hamiltona za „klasyka”, który wszedł na stałe do historii gatunku: zrealizował on wszak cztery najgłośniejsze „bondy” – „Goldfinger”, „Diamonds Are Forever”, „Live and Let Die” oraz „Man with the Gold Gun”, „Komandosi z Nawarony” są osiemnastym z dwudziestu zrealizowanych przez niego filmów.

Wszystkie ekranowe dzieła Hamiltona charakteryzują się rozmachem, inscenizacyjnym, niezwykle wartką akcją, drapieżnością i nierzadko - brutalnością. To zapewnia im bardzo szeroką widownię, tym bardziej, że zarówno widowiska szpiegowskie jak i wojenne „westerny” mają na świecie miliony wielbicieli. Filmy w rodzaju „Dział Nawarony”, „Tylko dla orłów”, „Parszywej dwunastki” czy „Złoto dla zuchwałych” wyrobiły zapotrzebowanie na dalsze, podobne im, filmowe opowieści, które zresztą z rzeczywistością wojenną i z działaniem autentycznych komandosów nie mają zazwyczaj wiele wspólnego, podczas gdy na przykład takie obrazy jak „Bitwa o Midway”, „Najdłuższy dzień” czy wspomniana już „Bitwa o Anglię” posiadają ambicję przedstawienia autentycznych wydarzeń historycznych, tyle że w nieco „podbeletryzowanej” formie.

Nie może przy tym pominąć faktu, że początek owej serii wojennych „westernów” dały słynne „Działa Nawarony”, oparta na książce pisarza brytyjskiego Alistaira Mac Leona, oraz szereg następnych adaptacji filmowych kolejnych książek tego bardzo płodnego i niezwykle na całym świecie poczytnego autora. Alistair MacLean napisał 15 książek i wszystkie one (co jest wyczynem dotąd niespotykanym) zostały przeniesione na ekran. Większość książek

MacLeana ukazała się także w Polsce, natomiast oglądaliśmy tylko niektóre filmy: poza „Działami Nawarony” w reżyserii J. Lee Thompsona i ze znakomitymi kreacjami Gregory Pecka oraz Anthony Quinna, widzieliśmy jedynie „Tylko dla orłów” Briana G. Huttona i - prezentowana w Telewizji Polskiej - „Sile strachu” Michaela Truchnera. Obecnie mamy możliwość zapoznania się z „Komandosami z Nawarony”...

Film ma być jakby kontynuacją przygód komandosów, którzy niegdyś wysadzili na małej greckiej wysepce dwa gigantyczne niemieckie działa panujące nad połową Morza Egejskiego. Teraz działają na terenie Jugosławii, pomagając partyzantom marszałka Tito w walce z hitlerowcami i wysługującymi się im „czetnikami”. Oczywiście już sam tytuł jest grubym bluffem reklamowym, który po prostu odwołuje się do sentymentu widzów wobec niegdyś podziwianego przez nich filmu. Wprawdzie to dwaj dawni uczestnicy akcji na Nawaronę, major Mallory i sierżant Miller - jak tego chce scenariusz filmu Hamiltona - rzucają się w wir nowych przygód, ale w „Komandosach” nie zagrał ani jeden z aktorów, którzy odtwarzali postaci tamtych śmiałków: szczególnie rozczarowuje brak Gregory Pecka i Anthony Quinna. Inna sprawa, że zegrali tutaj świetnie przede wszystkim Robert Shaw i Harrison Ford, a wtóruje im jeszcze Edward Fox. No i „zagrał” wspaniale cudowny krajobraz Jugosłowiański, zagrała pomysłowa i dynamiczna fabuła, trzyma w napięciu naczelny problem „Komandosów z Nawarony” - sprawa rozpracowania groźnego szpiega niemieckiego, który wdarł się w szeregi jugosłowiańskich partyzantów...

Czytelnicy zauważyli, że unikam w tym felietonie nawiązywania do treści filmu. Czynię to oczywiście celowo, bo wszak tego rodzaju ekranowe opowieści robią na widzach prawdziwe wrażenie dopiero wtedy, kiedy zajmując miejsce na sali, nie wie się nic na temat początku, środka, a tym bardziej - zakończenia filmu. Mamy wszak obejrzeć za chwilę ekranową baśń, oddając się w czasie trwania seansu bezkrytycznie wątkowi rozsnuwanej przed naszymi oczyma opowieści.

Natomiast po wyjściu z kina warto sobie przypomnieć, że „Komandosi z Nawarony” nie mają absolutnie nic wspólnego z autentyczną działalnością operacyjną brytyjskich komandosów na terenie Jugosławii. A były to działania na tyle niezwykle, barwne i skuteczne, że warto im poświęcić osobną opowieść i zupełnie inny - choć nie mniej atrakcyjny - film.